Nr. 24. Lwów — 1888 r. Rok XI.

Numer pojedyńczy 15 ct.

GONIEC

Numer pojedyńczy 15 ct.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH.

„Goniec“ i „Iskra“ wychodzą każde po dwa razy na miesiąc — razem cztery razy. Oprócz tego tak do „Gońca“ jak i do „Iskry“ dołącza się stale osobny **Dodatek powieściowy** dla wszystkich prenumeratorów. Prenumerata *na obydwa pisma z dodatkiem powieściowym* wynosi tak w miejscu, jak i naprowincji kwartalnie: 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce i innych zaoceanowych krajach 20 franków (4 dolary) rocznie — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie, ul. Ossolińskich l. 10.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* Listy powinny być frankowane. Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi 5 ct. miesięcznie.

*Właściciel i naczelny redaktor: **M. D. Chamski***



FRANCISZEK RYCHNOWSKI

Rysowano podług fotografji Mazura we Lwowie.
Życiorys pod tymże tytułem.

Od Administracji.

Prosimy szanownych abonentów, o łaskawe nadesłanie zaległej i bieżącej prenumeraty, gdyż dla wydawnictwa wszelkie zaległe rachunki są uciążliwe — zresztą, sądzimy, że jest obywatelskim obowiązkiem popierać pisma polskie, a nie lekceważyć ich pożyteczną pracę dla społeczeństwa i krzywdzić.

Pieniądze prenumeracyjne najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach *rekomendowanych*, albo *pieniężnych* do *Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie.*

Zanosi się na wojnę...

Zanosi się na wojnę!..

I dlaczego?

Zbroją się od stóp do głowy, a ciągle mówią o pokoju...

To prawda, że się zbroją — ale, ile to już lat się zbroją i, jeśli w tym kierunku tak dalej pójdzie, to chyba coś obmyślą, aby żołnierz mógł jeszcze z gęby i z nosa wyrzucać jakieś pociski na nieprzyjaciela...

Mówi się, a więcej się jeszcze pisze, o pokoju, bo w ten pokój nikt nie wierzy — i ci, co go pragną — i ci, coby go zerwać chcieli... Pokój to obłudny, podminowany interesami rządów i ambicjami panujących, krzywdami narodów i namiętnościami ludów, intrygami dyplomatów i planami polityków — wreszcie, są pod nim i kupki dynamitu, które poumieszczała tu i ówdzie czerwona ręka socjalistów i nihilistów...

Niech pod ten pokój padnie jedna iskra, choćby z cygara rozsierdzonego księcia Bismarcka, albo z niedopalonego papierosa rzuconego z gniewem o ziemię przez cara — a będzie ładny fajerwerk!..

Czyż tylko fajerwerk?..

Miałożby to tylko wybuchnąć, aby potem znowu się zbroić, i znowu ciągle gadać o pokoju?...

Ten zbrojny pokój dała nam wojna francusko-pruska, potem turecko-rosyjska — jeżeli i teraz ma być taka wojna, aby Europa po niej trzymała ciągle broń na ramieniu i siedziała na armatach, to już lepiej zbrójmy się w dalszym ciągu bez wojny — to znacznie taniej kosztuje i z miljon ludzi zostanie przy życiu niepokaleczonych...

Prawdę powiedziawszy, wojna by się zdała — ale taka wojna, którąby mieczem rozcięła różne węzły nie dające się obecnie zwykłymi palcami rozplątać — taka wojna, któraby w rezultacie okazała się wykonawczynią sprawiedliwości dla pokrzywdzonych narodów, taka wojna, któraby uspokoiła wzburzone żywioły swoimi ludzkościowymi celami, taka wojna, któraby powiedziała: »dobrze, jeśli ma być w naszym wieku siła przed prawem — niech będzie — ale niech ta siła uosabia siłę wyższą, dodatnią, niech łamie kark i depce nogami, co jest, istotnie, złe, niech będzie na ziemi wyobrażeniem siły bożej — i tą siłą ja jestem — wojna«. Takiej wojny starej Europie trzeba...

Po takiej wojnie na długo zapanowałby prawdziwy pokój... Błogosławione nastałyby czasy i trwałyby dopóty, dopóki nie nagromadziłoby się tyle pokojowego materjału, że znowuby się ludzie za łby wzięli...

Od początku świata czubimy się między sobą i tak będzie do końca świata, a nawet wtedy, gdy głos trąby archanioła powoła nas na sąd ostateczny i, gdy wszyscy powstaniemy z grobów — bez policji i żandarmów nie obejdzie się...

Od ręki.

— Przedsiębiorcy — rodacy.

Często bardzo spotykamy się z zarzutami wymierzonymi przeciwko ministrom — rodakom, który to wyraz w Galicji przez pewne sfery, wymawia się z przekąsem... O ile słusznem jest wymaganie od austrjackiego ministra finansów n. p., którym jest polak, aby interesa materjalne Galicji przedewszystkiem miał na względzie i pożyczał pieniędzy tym rodakom, którzy potrzebnją — o tem w tej chwili mówić nie chcemy, ale z powodu właśnie lata i rozpoczęcia się różnych przedsiębiorstw, pragniemy kilka słów powiedzieć o naszych przedsiębiorcach rodakach.

Panowie ci śpiewają, ciągle śpiewają na jedną nutę, mianowicie, że muszą walczyć z konkurencją zagraniczną i, że ich dobre chęci i zdolności nie mają takiego pola, jakie mieć powinny, bo najlepsze przedsiębiorstwa zdmuchują im z przed nosa niemcy, albo wiedeńscy żydzi. Poczciwa prasa nasza pomaga też, gdzie tylko może, i jak umie przedsiębiorcom krajowym. Przyjrzawszy się jednak bliżej tej sprawie, musimy przyznać, że kraj tyle ma dobrego z przedsiębiorców-rodaków, co i z przedsiębiorców cudzoziemców t. j. — nic nie ma Jedni i drudzy bogacą się osobiście, a społeczeństwo w ogólnych swoich interesach nic nie zyskuje, bo to n. p., że kraj uzyska nową kolej, albo nowe jakieś przedsiębiorstwo przemysłowe, nie jest żadną zasługą przedsiębiorców, a za tę swoją „pracę“ mają dobrze wypchane kieszenie, gdy tymczasem my, nie rzadko karki kręcimy na ich mostach, albo dusimy się pod zapadającymi sufitami mieszkań naszych... Wśród tych jęczących na zagraniczną konkurencję przedsiębiorców-rodaków w Galicji, proszę nam wskazać, choć jednego, któryby nie był bogatym, zamożnym, lub któryby wreszcie nie miał takich dochodów, że może prowadzić życie wygodne z wszystkiemi przyjemnościami. Ale, czy ci panowie, jako obywatele, jako polacy, poczuwają się do obowiązku, choćby najskromniejszego popierania tego, co jest duchowym dorobkiem społeczeństwa? Czy dom ich, rodzina w ten sposób ukształtowała się, że potrzebuje być w łączności duchowej z narodem przez sztukę i literaturę? Gdzie tam! W mieszkaniu u najbogatszych naszych przedsiębiorców-rodaków na ścianach wiszą oleodruki, a i te nawet nie zdradzają smaku estetycznego, książki nie ma, ani na lekarstwo, pisma perjodycznego także nie ma, chyba jakie „Modenwelt“, albo pogniecionych parę

numerów jakiegoś humorystycznego świstka wyjętych z kieszeni paletota pana, gdy wrócił z podróży i nudził się w wagonie... Do teatru chodzą te rodziny tylko na operetkę i to wtedy, kiedy jest bardzo tłusta, meble jednak, jak tylko mogą sprowadzają zawsze z Wiednia, i jak pan taki przedsiębiorca-rodak zbogaci się, tutejszy rzemieślnik nic od niego nie zarobi. Znamy takich przedsiębiorców-rodaków, którzy po nocnych tingel-tanglach rozrzucają garściami pieniądze, którzy robią sobie „artystyczne“ wycieczki do Wiednia, polegające na użyciu tego wszystkiego, co na wielką skalę wiedeńskie tingel-tangle dają, ale możesz być pewny, że ci panowie obrazu artysty polskiego i książki polskiej nie kupią, pisma perjodycznego nie zaprenumerują, żadnej działalności mającej na celu rozwój umysłowy, nie poprą — wszak oni na to nie mają czasu, a rodziny ich, na takich etycznych pierwiastkach się rozwinęły, że do podobnych rzeczy nie czują najmniejszego pociągu i potrzeby.

Proszę zobaczyć mieszkanie zamożniejszego przedsiębiorcy francuskiego, wreszcie proszę spojrzeć na dom przedsiębiorcy w Warszawie, lub w ogóle w Kongresówce, a wtedy dopiero przekonamy się, że nasi galicyjscy przedsiębiorcy-rodacy, choć są bogaci i nawet chodzą w kontuszach i butach polskich nie stanowią czynnika dodatniego w umysłowo-narodowym rozwoju, bo dla sztuki i literatury są obojętni, czyli jaśniej mówiąc, nie są tak dalece wykształceni, aby ich ogólny ruch umysłowy w społeczeństwie pociągał i interesował. Wyjątki wprawdzie są i w Galicji, ale je na palcach zliczyć można...

Franciszek Rychnowski.

(Do portretu)

Pracowników na polu praktycznej mechaniki niema u nas wielu. Jest to specjalność, która łączy w sobie naukę teoretyczną z doświadczeniem nabytem mozolnemi próbami, wymagającemi kolosalnej nie raz cierpliwości, kosztów i wytrwałości.

Franciszek Rychnowski, inżynier-mechanik, jest, istotnie, w swoim zawodzie znakomitością, którego nazwisko wybiegło poza Galicję. Umysł to dziwnie ruchliwy i kombinacyjny, a tak pracowity, że poza obrębem swej specjalności, niema nawet czasu o czemś innem pomyśleć...

Specjalnością inżyniera Rychnowskiego jest zastosowanie mechaniki do praktycznych przyrządów i aparatów, oraz elektryczność.

Na tem polu dokonał on rzeczy parę, za które nietylko na wielu wystawach dyplomami i medalami odszczególniony został — ale wśród inżynierów — mechaników, bardzo wybitne zyskał stanowisko.

W ostatnich latach, Rychnowski ze Lwowa wezwany został do Bukaresztu przez króla rumuńskiego, aby w pałacu monarchy zbudował kuchnię całą z żelaza, ale tak pod względem mechanicznym skombinowaną, żeby wykonywała wszystko przy najbardziej detalicznych udogodnieniach i ulepszeniach.

Kuchnię tę według swojego własnego pomysłu i planów, wykonał Rychnowski w warsztacie swoim we Lwowie, przy współudziale sił rzemieślniczych polskich. Była ona przez pewien czas wystawiona we Lwowie, na widok publiczny, zanim odesłano ją do Bukaresztu.

Cała ta kuchnia wykonana z żelaza, olbrzymia, óprócz zużytkowywania ciepła i pary, posługiwała się także siłą automatyczną, jak n. p. obracanie rożnów przy pieczeniu — przytem mechanizm tak jest w niej zastosowany, że od przyrządzania najwykwintniejszych potraw, aż do zmywania naczyń i suszenia drzewa — wszystko jest obmyślone, na wszystko jest miejsce i wszystko odbywa się w ten sposób, aby najmniej zużywać siłę ludzką, nadając jej tylko funkcję kierowniczą.

Kuchnia ta kosztowała kilkanaście tysięcy reńskich, a król rumuński obdarzył Rychnowskiego orderem.

Takiej samej konstrukcji, tylko na mniejszą skalę, zastosowane do zwykłych domów, wykonał Rychnowski kuchnie żelazne i okazał je na wystawie krakowskiej — zyskały one prawdziwe uznanie specjalistów, wielkie pochwały i medale dla wynalazcy.

W Sukiennicach w Krakowie zaprowadził Rychnowski, podług swego własnego systemu, kaloryfery.

Oświetlenie elektryczne gmachu sejmowego we Lwowie, dokonał Rychnowski.

Bardzo wiele robót mechanicznych i przyrządów dokonał Rychnowski z nadzwyczajną precyzją, a wszystkie, nawet najmniejsze, odznaczają się oryginalną pomysłowością.

Z ogromnem zamiłowaniem oddaje się Rychnowski studjom nad elektrycznością i z największą pewnością niezadługo z pracowni jego wyjdzie jakiś wynalazek.

Franciszek Rychnowski, którego portret w dzisiejszym numerze podajemy, pochodzi z Morawji i pierwsze studja politechniczne odbywał za granicą. We Lwowie osiedlił się i ożenił z polką oddawna i posiada wielki zakład mechaniczny, w którym zajmuje wielu specjalnie wykształconych rzemieślników i mechaników.

W sile męzkiego wieku, niezmiernie pracowity, z umysłem wyższym, kombinacyjnym, cierpliwy, w badaniach i doświadczeniach spokojny i uparty, a przytem opierając się o silny fundament naukowy — Rychnowski, jako inżynier-mechanik, w swoim zawodzie należy, niezawodnie, do rzędu najzdolniejszych i najwybitniejszych pracowników na tem polu.

Teatr.

Pan Florjański, do niedawna tenor lwowskiej operetki i opery, obecnie stale angażowany w czeskiej operze, w Pradze, wystąpił w tych dniach kilka razy, jako gość, na lwowskiej scenie. Śpiewał w „Carmen“ partję Don Jose'go, w „Halce“ Jontka i wyjątki z oper: „Żydówka“, „Straszny dwór“ i „Łucja“ — oprócz tego dał koncert w sali kasyna mieszczańskiego, złożony z piosnek polskich, czeskich, oraz wyjątku z nowej opery Verdiego: „Otello“.

Publiczność, która się dość licznie zbierała na występy utalentowanego śpiewaka, przyjmowała go serdecznie przy salwach grzmiących oklasków. —

Pan Florjański, obdarzony z natury pięknym, tenorowym głosem, przez czas pobytu w Pradze wzmocnił go i ustalił, nabrał pewności, a pod względem aktorskiej gry, zrobił wyraźne i dodatnie postępy — Czesi bardzo cenią talent naszego śpiewaka, który też kilka razy na pragskiej scenie śpiewał po polsku, między innemi Jontka w „Halce“

Panna Zimajer (córka) znowu debiutowała w roli Julji w pięknej 1. aktowej komedji z francuskiego: „*Kwiat z Tlemcen'u*“. Jest to rola popisowa dla pierwszorzędnych artystek, dość powiedzieć, że grała ją pani Popiel... Co do panny Zimajer — nic więcej nie możemy powiedzieć nad to, cośmy już powiedzieli, pisząc o poprzednich jej występach.

Pierwsze gościnne występy pani Aleksandry Lüde, artystki teatrów warszawskich na lwowskiej scenie, zapełniły cały teatr. Pani Lüde wystąpiła w *Półświatku* Dumas'a, w tłómaczeniu Przezdzieckiego i w *Georgecie* komedji Sardon. Od czasu, gdy widzieliśmy artystkę na krakowskiej scenie, wiele w talencie pani L. zaszło zmian na korzyść. Poczekamy na inne występy, aby ocenić wszechstronniej talent artystki, która wybrawszy sobie, jako specjalność, salonowe i konwesracyjne role, z natury rzeczy, pokonywać musi pewną bezbarwność i konwencjonalność djalogu i samych nawet przedstawianych postaci.

Kamerdyner mego dziadka

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Dokończenie).

Wszystkie środki były już wyczerpane. Użyliśmy wszystkich kombinacyj, by uratować *le gros* interesów i pooddawać długi wymagalne. Przed paru dniami jeszcze chwyciliśmy się ostateczności, aby dostać potrzebne dwadzieścia tysięcy. Dziś, w przeciągu dwudziestu czterech godzin, trzeba było stu tysięcy!

Sto tysięcy! Zdawało mi się, że się wszystko dokoła mnie wali, że się wszystko kończy, a cyfry tylko majaczyły mi po głowie.

Winter tymczasem odzyskiwał przytomność.

— Kasjera i Pinkusa! — zawołał do Jana, który miał czas dziwnie na mnie spojrzeć.

Nadbiegł kasjer.

— Proszę przynieść nam wszystką gotówkę, jaka jest w kasie i zamknąć kasę do jutra!

Kasjer przyniósł dwadzieścia tysięcy rubli.

Wkrótce przybył też Pinkus i, gdy opowiedzieliśmy mu co się stało, oświadczył, że dołoży wszelkich możliwych starań, aby złemu zaradzić. I poszedł.

Oczekiwaliśmy też nań w gorączce, a każda minuta tego oczekiwania rokiem się nam wydawała.

Powrócił wreszcie późnym wieczorem i, rzucając na stół czeki, kwity, weksle, oraz nieco gotówki, zawołał:

— Trzydzieści pięć tysięcy dziewięćset siedm!..

Po czem, upadłszy na fotel, mówił dalej:

— Gdybyście żądali odemnie jeszcze rubla więcej, nie dałbym, gdyżbym go sam już nie dostał..

Winter i ja spojrzeliśmy po sobie. Brakowało czterdziestu pięciu tysięcy!

Nie poddając się przecież ostatecznemu zwątpieniu, Winter wybiegł jeszcze z Pinkusem, ale gdy powrócił około północy, rzekł:

— Niema i nie będzie! Pinkus miał rację...

Ten zaś dodał:

— Bankructwo Simona nabawi pana straty — miliona.

Słuchałem oniemiały.

Naradziliśmy się jeszcze czas jakiś wspólnie, nie doprowadziło nas to jednakże do wynalezienia żadnej skutecznej kombinacji... Wreszcie wyszedł Pinkus, na pół żywy. Winter chodził po pokoju; ja, od czasu do czasu, poddawałem nową myśl, rodzącą się w rozgorączkowanym mym mózgu.

Była to straszna noc.

Nad ranem, zadzwoniłem na Jana. Wszedł zaspany, bo i on nie kładł się spać, czekając na dzwonek, i zdziwił się, zobaczywszy u mnie Wintera.

Sięgnął, aby zdjąć mi surdut.

— Nie trzeba! — rzekłem — Pójdziesz i pozbierasz wszystkie kosztowności, jakie są w domu — srebra! wszystko! i poznosisz tutaj!

Jan słuchał osowiały; kiwnął głową i wyszedł W godzinę później wrócił, oznajmiając drżącym głosem, że już wszystko gotowe w przyległym pokoju. Udaliśmy się tamże i oceniliśmy zgromadzone kosztowności na jakie dwadzieścia tysięcy.

Były tam stare srebra po kasztelanie, były i dzieła sztuki, które dziadek lubił, były i różne rzeczy z wypraw babki mej i matki.

Jan stał, jak widmo, przy stole uginającym się pod ciężarem sreber. Milczeliśmy wszyscy, aż Winter zauważył:

— Wyniesienie tych rzeczy z pałacu może nas bardzo skompromitować. Nikt nie uwierzy, by w tak rozległych interesach mogła zdarzyć się potrzeba zastawiania sreber.

— Co robić? — wyszeptałem, a obracając się do Jana, zapytałem jeszcze:

— Czy pan niema... może wiesz... jakich kosztowności?... może...

Sługa wyszedł, a trząsł się cały. Po chwili wrócił, niosąc worek różnych, głównie srebrnych monet, który postawił na stole.

— Pan miał zwyczaj — przemówił grobowym i zdławionym głosem — nie brać nigdy rano drobnych pieniędzy, które wyjąłem mu z kieszeni wieczorem. Uzbierała się tego pełna szuflada w komodzie... jak myślę, będzie z kilka tysięcy...

Wiedzeni ciekawością, pobiegliśmy za Janem, chcąc przekonać się o prawdzie słów jego. I rzeczywiście, duża szuflada w komodzie była prawie pełną srebrnej i miedzianej monety.

Spojrzałem na Jana.

— Uzbierało się tyle... — wyszeptał.

— Pan wie o tem? — zapytałem.

— Zkądby wiedział — odparł sługa.

Winter biegał po pokoju i powtarzał:

— Trzydzieści tysięcy! jeszcze trzydzieści tysięcy!

Jan stał nieruchomy i wodził wzrokiem po nas obydwóch.

— Gdybym śmiał, tobym coś powiedział — wyszeptał do Wintera, korzystając z chwili, w której się zamyśliłem:

— Mów! — zawołał Winter.

— Kiedy nie śmiem... — odparł Jan i spojrzał na mnie.

— No mów! — rzekłem, widząc pomieszanie i wahanie się jego.

Ośmielony tem Jan począł szeptać:

— Nie trzeba panom mówić... służba u pana była dobra... dawniej... gdy pan był młodszy i karty były co dzień... człowiek nie jest bez grosza... ja mam siedmnaście tysięcy...

— Czego? zawołał Winter, patrząc na Jana pałającym wzrokiem.

— Czegóżby, jak nie rubli — odparł spokojnie Jan — przecież wiem, że panowie na ruble rachują.

Winter rzucił się Janowi na szyję i uściskał go, ale Jan posmutniał i dalej szeptał,

— Dałbym, gdybym wiedział, że pan nigdy się nie dowie... panby się gniewał... Ach! Boże! panby mi nie darował...

Miałem łzy w oczach, widząc tę trwogę Jana, aby pan jego nie dowiedział się, że go uratował..

Tegoż dnia, o godzinie jedenastej rano, Winter odniósł do banku niegdyś Simona sto tysięcy rubli.

Sreber nie zastawialiśmy, gdyż Jan, dowiedziawszy się o projekcie, oświadczył, iż po jego trupie tylko srebra wyszłyby z domu. Pobiegł na miasto i przyniósł jeszcze dwadzieścia tysięcy rubli, które pozbierał u swych kolegów i przyjaciół z pod bramy.

O godzinie dwunastej wysłałem sztafetę do Krakowa, wzywając mego dziadka do powrotu. Nie groziło nam już żadne niebezpieczeństwo. Podpis nawet dziadka został wycofany z obiegu.

Wieczorem wezwałem Jana i chciałem mu wystawić kwity na pożyczone odeń pieniądze.

— Jaśnie pan żartuje — odparł.

Napróżno mu tłumaczyłem. Odpowiedź jego brzmiała:

— Panby się gniewał...

Oznajmiłem mu, że pan za kilka dni powróci. Rozpromienił się na chwilę, ale wnet posmutniał i upadł mi do nóg. Myślałem, że zwarjował.

— Tylko proszę — mówił — aby pan nigdy się nie dowiedział, że ja dałem pieniądze... Ja nie dałem... ja pański... moje pieniądze też pańskie... gdzie to kiedy kto słyszał, żeby sługa... takiemu panu... takiemu panu...!?

I stąpając powoli w swych papuciach, wysunął się z pokoju.

Nieopisana radość malowała się na obliczu starego sługi, gdy nadszedł dzień powrotu dziadka. Chodził po pokojach, ustawiał, przesuwał, układał jedno i to samo po dziesięć razy.

— Bardzo się cieszysz, Janie? — zapytałem.

Jan milczał, tylko wciąż ustawiał, przesuwał i, jak zwykle, po chwili dopiero wyszeptał:

— Pinkus nie będzie się już rozpierał.. złodziej!

Wreszcie dał się słyszeć w podwórzu turkot powozu, zabrzmiała trąbka pocztarska — dziadek powrócił.

Powrócił, starszy o lat dziesięć i siwy Jan spojrzał w górę, na głowę mojego olbrzymiego dziadka, i zbladł jak chusta.

Nie wiedziałem, co mi bardziej przykre sprawiało wrażenie: widok dziadka, czy jego sługi. Kamerdyner bowiem dygotał, wargi mu drgały, ręce trzęsły się: spoglądał co chwila na swego pana, a w jego szarych oczkach malowała się dzika jakaś rozpacz.

Dnia tego, ile razy spotkałem starego Jana, widziałem, jak usta jego poruszały się ciągle, jakby coś szeptał. I rzeczywiście szeptał, bardzo cicho, machinalnie, bezwiednie:

— Pan posiwiał... pan posiwiał...

Bałem się, by stary nie oszalał, był, bowiem, ciągle, jakby nieprzytomny. Szczęściem, dziadek zbyt był znowu zajętym, by mieć czas na karcenie Jana — mimo to kilka razy dostało mu się surowe napomnienie.

Między innemi. opowiedziałem dziadkowi i postępek Jana, z wszystkimi szczegółami, — postępek ratujący może milionową dziadka fortunę, a nawet i honor po części.

Słuchając o tem, dziadek pochmurzył się, spąsowiał i rzekł, jakby sam do siebie:

— Jakąż ja miałem słuszność, żem wyjechał!...

A gdy później Jan podawał mu ogień do fajki, odezwał się do niego:

— Słyszałem, Janie... opowiedział mi młodszy pan... dziękuję ci...

I do ostatnich słów, wypowiedzianych ze szczególnym naciskiem, dodał właściwy sobie, pański ruch ręki.

Jan był oczarowany i uszczęśliwiony tem podziękowaniem, jak dziecko: pocałował pana w rękę i oddalił się czemprędzej.

Inaczej usposobionym był mój dziadek. Zauważyłem, iż opowiadanie moje sprawiło mu wielką przykrość. Szlachetny z natury, nie mógł nie podziękować słudze za jego czyn wyjątkowy; obrażona jednak duma buntowała się przeciw uczuciu wdzięczności, skutkiem czego, zdaje mi się, że prawie znienawidził poczciwego swego kamerdynera.

Na drugi dzień Jan zameldował:

— Pinkus!

— Niech wejdzie! — odparł dziadek, a obracając się do mnie zapytał: — Zapewne trzeba go prosić siedzieć? To, co najmniej, można zrobić dla pachciarza, który cię uratował od zguby...

— Sądzę... — zacząłem mówić, ale dziadek mi przerwał:

— Kawaler, widzę, jesteś liberalny!

Wszedł Pinkus, poprzedzony przez Jana.

Podsunąłem mu krzesło.

— Możesz usiąść, Pinkus! — rzekł mój dziadek swym pańskim tonem.

Pinkus usiadł niezgrabnie.

Jan stał, jak wryty, zdawał się być skamieniałym ze zgrozy i przerażenia. Spojrzałem nań: to go oprzytomniło niby — wyszedł.

Wkrótce dziadek chciał go wezwać, ale dzwonił na próżno. Pobiegłem szukać Jana — nie było go nigdzie.

— To kanalja! — mruczał dziadek.

Ale i wieczorem Jana nie było. — nie było go i przez noc.

Dziadek mój wpadał w pasję.

Na drugi dzień Jana jeszcze nie było, Winter spotkał go na schodach pałacowego pawilonu, gdzie nie bywał nigdy, szedł zwolna, mrucząc:

— Pinkus siedzi przy panu... Pinkus siedzi przy panu...

Stróż widział również, jak o tejże samej godzinie Jan wchodził do pawilonu i mruczał:

— Pinkus siedzi... Pinkus siedzi przy panu...

Pobiegłem z Winterem do pawilonu. Może tam spotkał starego sługę jaki wypadek?...

Nie było go nigdzie, na żadnem piętrze. Zaszliśmy aż na strych. Tu dopiero przedstawił się oczom naszym okropny widok...

Jan, z oczami wyszłemi na wierzch siedział we drzwiach od strychu...

Zbliżyłem się i krzyknąłem z przerażenia — dostrzegłem, bowiem, iż w siedzącej postawie obwiesił on się na klamce...

Przybyły doktor oświadczył, że trzeba było wielkiej siły woli, aby w ten sposób dopełnić samobójstwa.

Po dokonanej sekcji, lekarze oświadczyli, że przyczyną, która popchnęła biednego Jana do odebrania sobie życia była *»raptuosa aberratio mentalis«*. Ja zaś powiedziałbym, że jedyną przyczyną tego wypadku było fanatyczne, bałwochwalcze przywiązanie starego sługi do pana!

Biedny Jan!

Odczuwał on w wysokim stopniu cierpienia swego pana. To jednakże, co przeżył silny pan, zabiło słabego sługę.

Takim był kamerdyner mego dziadka, ale takich kamerdynerów już nie będzie...

Dlaczego? Dlatego, że dziś, gdy jakiś pan wykrzyknie:

— Gdzież się podziały te dobre, stare sługi?

Sługa może odpowiedzieć, bez wahania:

— Poszli za dobrymi, starymi panami!

Ferdynand Lesseps.

(Do portretu).

Któż nie zna z ludzi, nawet powierzchownie wykształconych, nazwiska Ferdynanda Lessepsa? Człowiek noszący to nazwisko, stał się uosobieniem silnej woli, pracy i postępu w najszlachetniejszem znaczeniu tych pojęć. Wśród zawikłanych stosunków, wyrządzanych krzywd i niesprawiedliwości, jakie sobie rządy i narody nawzajem wyprawiają, Ferdynand Lesseps w drugiej połowie XIX. wieku zajął stanowisko, z którego spoglądać ma prawo na szereg przyszłych pokoleń, dla których więcej zrobił, aniżeli niezliczone miliony pikelhaub i odtylcowych karabinów...

Ferdynand wicehrabia Lesseps, urodził się w roku 1805 w Wersalu pod Paryżem, liczy więc dziś 82 lat. Wcześnie, bo od 20. roku życia rozpoczął swoją karjerę w dyplomacji, jako *attaché* przy konsulacie jeneralnym w Lizbonie, później został wicekonsulem w Egipcie, następnie konsulem w Kairze, a wreszcie jeneralnym konsulem w Aleksandrji. Na stanowisku tem dostał krzyż legji honorowej, a nieco później t. j w. 1848. roku powierzono mu reprezentowanie rządu francuzkiego. Wkrótce Ferdynand Lesseps nosząc się z wielkimi komunikacyjnymi projektami, usunął się sam od urzędowej dyplomacji i rozpoczął wiekopomną działalność swoją. Jak wiadomo, chodziło o przekopanie międzymorza Sueskiego i stworzenia nowej, a tak kolosalny wpływ wywierającej na między narodowy handel, przemysł i stosunki ludzkie, komunikacji. Do swoich projektów pozyskał Lesseps poparcie ówczesnegowładzcy Egiptu Saida-Paszy.

Książę ten zrozumiał doniosłość i wielkość idei Lessepsa i zażądał przedłożenia odpowiedniego i wyczerpującego memorjału, który też 1856 roku przedłożony został. — Aby przyprowadzić tak wielkie dzieło do skutku, potrzeba było, istotnie, granitowej woli i takiego niezłomnego ducha, jakim jest obdarzony Ferdynand Lesseps; — pokonał on wszystkie przeszkody, wszystkie trudności. jakie mu stawiały rządy, narody, finansowi potentaci i t. p. i nareszcie zwyciężył.

Na rozpoczęcie tego olbrzymiego przedsięwzięcia wypuszczono 200 milionów franków akcyj, i w roku 1859 rozpoczęły się prace, a w dziesięć lat później, to jest 15. Sierpnia 1869 roku kanał Sueski był gotów i wody morza Śródziemnego połączyły się z wodami Czerwonego morza. Otworzenie kanału Sueskiego było jednem z największych świąt ludzkosciowego postępu. Lesseps podniesionym został 1866 roku do godności komandora legji honorowej, a w roku 1869 otrzymał wielki krzyż.

Obecnie Ferdynand Lesseps jest starcem 82-letnim, ale natura obdarzyła go taką niespożytą siłą, że wygląda na przeciętnych lat kilkadziesiąt. Zajęty on jest teraz również wielkiem przedsięwzięciem, jak kanał Sueski, bo uskutecznieniem przekopu Panama.

Ferdynand Lesseps nie tak dawno wstąpił, jeśli się nie mylimy, w powtórne małżeństwo i ożenił się z piękną i młodą kreolką. Z małżeństwa tego posiada śliczne dzieci, które kocha namiętnie, a w ogóle do rodziny swojej jest głęboko przywiązany i wszystkie chwile wolne od pracy i zajęć, jej poświęca i dla niej tylko żyje.

Z różnych pism.

No, proszę państwa, już też teraz głodna ludzkość nie będzie chyba mogła mieć żadnych pretensyj do ludzkości uczonej! Jakiś uczony chemik angielski....— o! czemuż nie jestem w stanie podać jego nazwiska ku czci, a wdzięczności obecnych i przyszłych pokoleń!... — otóż, pewien uczony anglik chemiczny wynalazł takie świece, które paląc się, wydają aromaty najwytworniejszych i najdroższych potraw i smakołyków. Zasiadasz tedy zacny czytelniku — pięknych czytelniczek nie śmiałbym narażać na tak ordynaryjną próbę: — zasiadasz sobie tedy nad miską postnego owsianego żuru, z niekraszonemi kartoflami; albo: zajadasz sobie okazały, żółty jak melon, kiszony ogórek — nasiennik, — ale przytem stawiasz sobie pod nosem taką świeczkę angielską, i zdaje ci się, że spożywasz zupę z gniazd jaskółczych, homara prosto z morza, bażanta z truflami, a nawet zsiadłe mleko ptasie, gdy się uprzesz koniecznie. Nie wiem tylko, czy pan chemik rozbierał potem chemicznie żołądek konsumenta i co w nim znalazł: kartofle, czy trufle, ogórek, czy ananas, a doświadczenie takie stanowiłoby ostatecznie o rzeczywistej, bo odżywczej, wartości nowego wynalazku.

Z tego względu dałbym może pierwszeństwo wynalazkowi amerykanów, a właściwie amerykanek, choć, niestety, kosztem jednej z nich dokonanemu, a dałbym mu je, mianowicie, dla tego, że do stwierdzenia jego pożyteczności nie potrzeba żadnych rozbiorów chemicznych. Wynalazek ten streszcza się w tem, że nie dobrze jest kobiecie, nawet młodej i ładnej, zbyt długo zabawiać się nad swoją toaletą. Zdarzyło się pewnego razu, że do pewnej wcale niebrzydkiej amerykanki, przyszedł narzeczony, podczas gdy ona się właśnie ubierała; tymczasem więc musiała go zabawiać młodsza jej siostra, także zdaje się nie brzydka. I stało się, że siostra tak dobrze gościa bawiła, a nieszczęśliwa narzeczona tak długo się ubierała, że kiedy wreszcie ustrojona, co się zowie, raczyła się ukazać w salonie, zastała swojego narzeczonego już po słowie z młodszą jej siostrą. Avis aux lectrices!

Niezły też jest najnowszy eksperyment amerykańskich pik-poketów. Do tego eksperymentu umawia się dwóch operatorów; jeden z nich, interesujący młodzioniec, upatruje na ulicy kobiety idące samotnie, najlepiej już w pewnym wieku i okazałej tuszy, a bogato ubrane. Upatrzywszy, idzie tuż za nią krok w krok, a nareszcie, wybrawszy chwilę, w której nikt na nich nie patrzy, uderza ją potężnie pięścią w kark. Kobieta, naturalnie, pada, a interesujący młodzieniec klęka przy niej, przykłada jej do ust i nosa chustkę z otrzeźwiającemi zapewne kroplami i wzywa pomocy przechodniów. Publiczność gromadzi się około zajmującej grupy; wtem zjawia się drugi operator, postać bardzo szanownego wyglądu i oświadczywszy, że jest lekarzem, prosi obecnych, aby się rozeszli, a omdlałą każe wnieść do sieni najbliższego domu. Policja, która zaraz posłała po ambulans szpitalny, pomaga doktorowi do usunięcia ciekawych i chorą zostawia z doktorem i interesującym domniemanym synem, czy kuzynkiem, samotnie w przymkniętej sieni. Za chwilę ambulans przychodzi i zabiera ciągle jeszcze nieprzytomną kobietę. Doktór i kuzynek siadają do dorożki i jadą tuż za ambulansem. Ale ujechawszy kawałek drogi, dorożka skręca nagle w bok i — ginie; uśpiona silnym narkotykiem, którym była napojona chustka interesującego młodzieńca, budzi się w szpitalu po pewnym czasie, bez kolczyków, pierścionków, bransolet, portmonetki i tym podobnych zbytkownych części swej toalety, które operatorowie najspokojniej, pod strażą policji, która im nie pozwalała przeszkadzać, zeskamotowali w sieni. Gdyby pikpoketerja ogłosiła była konkurs, ten pomysł musiałby otrzymać nagrodę, mieści, bowiem, w sobie żywioł, zarówno liryczny, jak dramatyczny i humorystyczny.

„Rola“.

Jak się tępi ludy w Brazylji. Cywilizacja, nie zdołała dotąd z duszy człowieka wyrwać instynktów zwierzęcych.

Oto przykład, straszny przykład.

Dzienniki londyńskie podniosły alarm, zwracając tem oczy Europy w stronę Brazylji. W prowincji brazylijskiej Paranapamena przerażającej dokonano zbrodni, tysiąca zbrodni. Postanowiono tam mianowicie trucizną wytępić plemię indyjskie „Guyanusów“.

I padło skutkiem postanowienia tego 3.800 indjan, a 5.000, jeżeli nie wyratuje ich cywilizacja, paść ma dziś, lub jutro.

Owym wielkim „w imię cywilizacji“ trucicielem jest niejaki senor Joaquim Bueno. Zamieszkuje on San Jao dos Campos Novos, w okolicach San Paulo. Bueno sam wyznaje, iż ma pod rozkazami 70 ludzi, wyłącznie tępieniu indjan oddanych. Doprawdy zdawałoby się, że nie o człowieka tu chodzi, ale wprost o tępienie szarańcz, pcheł, lub karaluchów.

Owóż, dnia pewnego wielcy ci cywilizatorzy napadli jedną z wiosek indyjskich. Przed dobrodziejstwami cywilizacji przerażeni tubylcy zbiegli w lasy opuszczając mieszkania, z których w każdem od 10—20-tu indjan chroniło się. I oto, co nastąpiło dalej. Przy każdej z indyjskich wiosek znajdują się trzy okrągłe, w ziemi wykopane doły. Jeden z nich najgłębszy, służy za studnią, w drugim przechowują mieszkańcy wioski napój z kukurudzy przyrządzany, t. zw. „piksi“, trzeci zaś, to skład najróżnorodniejszych wiktuałów, spiżarnia pełna solonych ryb i dziczyzny.

Wypędziwszy z osady mieszkańców jej, napastnicy olbrzymią ilością strychniny zatruli wszystkie trzy doły, a następnie sami uszli z kolei. Gdy następnie po paru dniach Bueno i towarzysze jego powrócili do owej wioski, w celu przekonania się, jak poskutkowało „lekarstwo“, już chmary całe żarłocznych zwierząt i ptastwa zdala się ukazywały.



FERDYNAND LESSEPS

(Rysowano z zagranicznej fotografji. — Życiorys pod tymże tytułem).

Tylko 3.000 trupów zastali na placu...

A przecież sengor Bueno najspokojniej głosi, że kto tępi indjan w zamiarze rozprzestrzenienia ras cywilizowanych, ten dobrze zasługuje się ludzkości.

Bueno wraz ze swoimi „siedemdziesięcioma“ nie poprzestali, na jednej, powyżej opisanej zbrodni. Napadli oni następnie inną wioskę, przez 800 indjan zamieszkałą, i 800 ofiar zostawili w niej po sobie. Tym razem, w braku strychniny, użyto sublimatu rtęci, zatruwając nim napoje i żywność nieszczęśliwych.

„Omne trinum perfectum“, to też truciciele zamierzają wkrótce trzecią urządzić wyprawę. Celem jej ma być osada licząca 5.000 mieszkańców. Bueno, który poprzednio nazywał się podobno Joaquimem Malo, zapewnia, iż do powyższych zbrodni nakłaniały go najwybitniejsze w prowincji osobistości, a nawet deputowani. Niepojętem jest doprawdy zachowawanie się miejscowych władz w obec ohydy, wstyd ludzkości całej przynoszącej.

Biedny kraj! *„Jornal de Commercio.“*

Mokre obuwie. Każdy doświadczył, jaką sprawia przykrość wzuwanie przemoczonego obuwia wskutek długiego chodzenia po błocie, lub śniegu, oraz, jak trudno je doprowadzić do pożądanego stanu miękkości skóry, gdy się obuwie nagle wysuszy. Przykrość ta dobrze jest znana gospodarzom i myśliwym.

Bardzo dobrym na to środkiem jest nasypanie do przemoczonych butów suchego owsa. Ziarno to chciwie wciąga wilgoć ze skóry, a pęczniejąc, rozciągą obuwie i nie daje mu się zsychać. Nazajutrz po wysmarowaniu butów, wytrząsa się z nich mokry owies i rozpościera na słońcu lub w pobliżu pieca dla wysuszenia, poczem może być znowu do tegoż celu użyty. Im suchszy będzie owies, tem lepiej. *„Orędownik“.*

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Wiel. ks. Litwora w Bremond (Ameryka). Dwa dolary otrzymaliśmy. Numera zaległe wysłaliśmy. Adres *Zarządu Macierzy* we Lwowie jest w gmachu Sejmowym.

P. Heliński w Duluth (Ameryka). List zapowiadający przesłanie prenumeraty w kwocie 5 złr. otrzymaliśmy — ale przekaz pocztowy do tej chwili nie nadszedł Pomimo to numera wysełamy.

P. Gruszczyński Excelsior (Ameryka). Dwa dolary otrzymaliśmy — numera zaległe wysłane.

P. A. Kahane w Brzeżanach. Odpowiemy listownie.

P. G. w Przemyślu Odpowiedź na swój list znajdziesz pan w dzisiejszym numerze — jeśli zapłaciłeś pan za drugi kwartał ajentowi, to w takim razie prenumerata pańska zapłacona jeszcze do dnia 1. lipca b. r.

Nadesłane.

Jadąc razem z robotnikami, wracającymi z rosyjskiego Podola i Ukrainy — słyszałem, jak wyrażali się z największem ukontentowaniem, że było im dobrze i, że przez 6 miesięcy zarabiali od 60 do 80 złr. na karmienie i że obywatele biorą ich koleją z miejsca, a obchodzą się z nimi łaskawie i napowrót dostawiają koleją — i że tylko posłani rok rocznie przez biuro wywiadowcze M. Lewińskiego w Rzeszowie otrzymują takie korzystne zarobki, który szlachetnie wywiązuje się z danego słowa i co obiecuje nam na miejscu to święcie dotrzymują nam obywatele. WPan Lewiński opiekuje si nimi, jako prawdziwy ojciec, aby im krzywdy nie wyrządzono, a stara się zawsze posyłać ludzi do godnych obywateli, tak, że nie chcą oni przez żadne drugie biuro dać się zamawiać, tylko za jego pośrednictwem.

Taki głos narodu robi panu Lewińskiemu, jako byłemu obywatelowi ziemskiemu zaszczyt i zasługuje na poparcie i względy u naszych obywateli. (4506 1—1)

Najlepsza i najtrwalsza farba do podłóg w różnych kolorach ciemnych i jasnych, jest w *Magazynie farb i Materjałów* Wolfa Czoppa *we Lwowie ul. Żółkiewska l. 2.* Nie jest to czcza reklama, lecz rzetelna prawda, o czem każdy przekonać się może. Taniej też jest, jak gdzieindziej. Firma ta znana jest od lat kilkudziesięciu. (4516-3—1)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo Fr. Ks. Kowaliszyn.

Z drukarni „Gazety Narodowej“ ulica Kopernika l. 5 — Telefon Nr. 117.

Dodatek powieściowy na dalszych stronnicach.